Siadasz za biurkiem.

A mógłbyś robić, co innego. Najlepiej coś pożytecznego. Coś przynoszącego jakieś pieniądze. Do domu.
Jesteś młody – do dzisiaj pozostałeś taki w swoich oczach – zdolny, inteligentny, masz błyskotliwe poczucie humoru (kilka osób podzielało nawet kiedyś ten pogląd), masz jeszcze możliwości, masz parę nieodebranych wiadomości od dawnych znajomych, masz nadal przypadkowe kobiety, częste ostatnio kłopoty z komunikacją, masz aktualnie żonę i (przy okazji) jej dzieci z pierwszego związku.
Jednym słowem, masz wszystko. Mógłbyś też robić dosłownie wszystko. Nawet to, o czym inni mogą tylko pomarzyć. Gdybyś zechciał.

Ale ci się nie chce.

Wbijasz wzrok w ścianę, jeszcze niedawno w kolorze Man on the Moon OC-106. Wybranym przez twoją pierwszą żonę, wtedy początkującą dekoratorkę wnętrz. Patrzysz, ale jej nie widzisz.
Ściany i żony. Pierwszej i drugiej. I dzieci.
Patrzysz, ale nie widzisz, że kolor – wtedy musiał być koniecznie ten, żaden inny, koniecznie Benjamin Moore – już tak wyblakł, że przesunął się o kilkadziesiąt pozycji w rozkładanym w wachlarzyk wzorniku farb. W kierunku barw zmytych i trudno identyfikowalnych.
Patrzysz, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że to robisz.

To twoje niewidzące niczego spojrzenie jest zawsze na początku.
Zwiastuje pustkę, niesłyszenie, niemyślenie, zawieszenie w czasie i przestrzeni. Chwilowy reset nawet początkowo ci służy, ale szybko przestaje być lekiem na to, co nad i pod tobą, na lewej i prawej flance, na froncie i tyłach.
Zaczynasz podświadomie czuć, że krąg wokół ciebie się zaciska. Zaciskasz dłonie, nie chcesz dać się zamknąć w środku tych wszystkich osaczających cię niedogodności i nieprzyjemności.
Choć nie patrzysz i nie słuchasz, masz dość tego wszystkiego, co cię otacza. Tego zewnętrza wokół twojego wnętrza.
Nie wydaje się warte twojej uwagi, twojego czasu, którego nie masz, bo w kółko coś, a to to, a to tamto. Zawsze znajdzie się ktoś, kto chciałby twój wolny czas zagospodarować z korzyścią dla siebie.
To miałaby być oczywiście też korzyść dla ciebie, wiesz o tym, bo przecież miłość bliźniego, bo jak dajesz, to wraca, i tak dalej, ale jakoś nie jesteś do końca przekonany.
Męczysz się, zawieszony między tym, co musisz, bo nie można inaczej, a tym, do czego ci bliżej. Podskórnie czujesz, że to bliższe jest dla ciebie lepsze.
Przekłuwasz błonkę niemyślenia, podejmujesz wysiłek myślowy i decydujesz się na ucieczkę.

Nie dociera do ciebie, że tam, gdzie pójdziesz znajdziesz znów światy nierealne. Wymyślone, nadmuchane jak balonik twoimi marzeniami i myślami o marzeniach. Myślami o tym, jak je – dzisiaj nierealne – uczynić kiedyś realnymi.
Nie będziesz do tego oczywiście dążył za wszelką siłę. O, nie. Nigdy w życiu. To musi być proces naturalny, dziejący się sam, bez twojego udziału, bez twojej w nim szarpaniny.
Zdajesz sobie sprawę, że ucieczka nie będzie doskonała. Powłokę balonu nierealności będzie chciała, i to niejednokrotnie, przebić jakaś niechciana natrętność.
Pewnie będzie to chwila, nie ta, to inna – chwila z gasnącym gwizdem czajnika w ręku, z szalonym wy-

ciem alarmu w samochodzie sąsiadki, z dobijającym biciem kościelnego dzwonu tuż za rogiem, wrzaskiem i płaczem twoich przyszywanych dzieci, którym na podwórku ktoś zabrał zabawkę, chwila ze śniadaniem, obiadem i kolacją i jej głosem, że powinieneś coś zjeść i choć na chwilę od tego pisania odpocząć.
Dziś dopadła cię późnym wieczorem. Nadstawiłeś początkowo uszu jak zając myśląc, że chwila z wiadomością dotyczy tym razem ciebie.
„Autorem najlepszego wiersza, jury ogólnopolskiego konkursu poetyckiego…"
Położyłeś uszy po sobie już chwilę potem, słysząc:
„organizowanego corocznie przez Areszt Śledczy w Krasnymstawie, uznało Zuzannę M. skazaną na 25 lat więzienia za zamordowanie razem z Kamilem N. rodziców chłopaka".
Miałeś ochotę mordować i palić, zły na to, że znów docenili kogoś innego. Ty, na co dzień spokojny człowiek!
I zrobisz to, jeśli nie będzie innego sposobu.

Podobne chwile zdarzą się zapewne niejednokrotnie. Musisz z tym żyć, w tym nieżyciu, do którego uciekasz.
Budzisz się wtedy, gdy przychodzą, wracasz do rzeczywistości, ale tylko na moment. Odganiasz ją jak natrętną muchę i znów znikasz.
Dla innych niby jesteś, niby słuchasz, uśmiechasz się, odpowiadasz, że tak, że wiesz, że jak najbardziej, że spróbujesz, że załatwisz. Ale tylko ty wiesz, że to pozory. Chociaż… to nieprawda.
Ona też już wie. Od dawna. Tylko nie wie, ile jeszcze jest w stanie to wytrzymać. Tę twoją wieczną nieobecność.
Ty nie chcesz wiedzieć. Nie myślisz o tym. Nie myślisz, myśląc, że w ten sposób unikniesz problemu.
Nie unikniesz, on rośnie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, podkarmiany troskliwie, aż wreszcie nie zmieści się na tych waszych – kiedyś tak jej mówiłeś o swoim mieszkaniu po rodzicach – czterdziestu czterech metrach kwadratowych.
Unikasz jej spojrzeń, wiesz, że masz zarabiać, że tymi mrzonkami o pisaniu nie opłacisz rachunków.
Myślenie o przyziemnych sprawach zbyt cię dołuje. A ty chcesz unosić się nad ziemią, prawie wierzysz, że kiedyś ci się uda. Nawet, jeśli nie wierzysz, to przed innymi udajesz, że właśnie nadszedł ten wielki moment. Masz pewność, że tym razem, że już…

Miałeś obiecujące spotkanie, ktoś tak zachwycił się zbiorem twoich opowiadań, że wydanie go jest kwestią miesiąca. No, góra trzech.

No, tak. Znowu sobie pofantazjowałeś.

A nie powinieneś. Powinieneś chwycić się konkretu. Uczepić się i nie puścić. I wycisnąć go jak pryszcz, z całą jego zawartością.
Dla siebie, dla rodziny.
A może jednak nie? A może powinieneś jeszcze bardziej zanurzyć się w świat fantazji, bo jak z konkretem nie wyjdzie, to co? Do czego wrócisz?

Łapiesz się na tym, że nawet teraz, gdy prowadzisz te głupie rozmowy sam ze sobą, to na dobrą sprawę nieświadomie już robisz to, czego nie powinieneś. To, czego nie powinien robić normalny człowiek. Znowu piszesz.
Jeszcze nie otworzyłeś szuflady biurka, nie wyciągnąłeś z niej czystej karki, ale już piszesz.

Tak naprawdę, w momencie, gdy masz na blacie biurka wszystko, czego ci potrzeba do pisania, w zasadzie już się napisało. Samo ułożyło w głowie.
I wtedy zaczyna się. To najtrudniejsze – przepisywanie. Niekończące się poprawki, dopiski, skreślenia, bo ten fragment zawiera przecież niezbyt szczęśliwe określenia, a tamten nie oddaje dokładnie sensu tego, co chciałbyś powiedzieć.
Tracisz pewność. Nic ci nie pasuje, wkurzasz się na siebie, tniesz tekst, krwawisz, nie możesz znieść tych amputacji fragmentów samego siebie rzuconego na papier.
Papieros, kawa, papieros, kawa, spojrzenie za okno, które sobie wyobrażasz, papieros i gryzący dym. Otwierasz szeroko okno. Cholernie zimno. Brr! Oddychasz łapczywie zmrożonym azotem z dodatkiem tlenu i paru innych lotnych dodatków.
Wraca polot. W głowie robi się jaśniej, wraca rytm i sens. Znów zaczyna się porządkować i układać jak w tablicy Mendelejewa.
Czytasz jeszcze raz, poprawiasz ostatnie szczegóły i… jest. Jesteś zmęczony, wyżęty do ostateczności, ale szczęśliwy. Czujesz, że t o j e s t t o.
Chowasz pisanie wraz z towarzyszącym mu szczęściem do szuflady…
Zdejmujesz nadstawkę wanny – blat biurka z szufladą. Wychodzisz suchą stopą na znany i niechciany ląd.

Wyciągasz się na rozkładanym fotelu w kuchni, w kącie za kredensem.
Łyk wystygłej kawy, jeszcze niedawno czarnej jak noc. Krzywisz się. Napój stracił barwę, naciągając bladym świtem poranka.
Wpatrujesz się w swoją blaknącą szczęśliwą gwiazdę na szarym suficie. Szkoda iść spać. Jesteś jeszcze zbyt nakręcony.
Wstajesz. Bierzesz pod pachę blat biurka. Z nieodłączną przepastną szufladą.

***

Siadasz za biurkiem.
A mógłbyś robić, co innego. Najlepiej coś pożytecznego. Coś przynoszącego jakieś pieniądze. Do domu.
Jesteś młody – do dzisiaj pozostałeś taki w swoich oczach – zdolny, inteligentny, masz błyskotliwe poczucie humoru (kilka osób podzielało nawet kiedyś ten pogląd) masz jeszcze możliwości, masz parę nieodebranych wiadomości od dawnych znajomych, masz nadal przypadkowe kobiety, częste ostatnio kłopoty z komunikacją, masz aktualnie żonę i (przy okazji) jej dzieci z pierwszego związku.
Jednym słowem, masz wszystko. Mógłbyś też robić dosłownie wszystko. Nawet to, o czym inni mogą tylko pomarzyć. Gdybyś zechciał.
Ale…
Wbijasz wzrok w ścianę. Patrzysz, ale…
Nawet gdybyś spojrzał uważnie – tak, żeby zobaczyć – nie zobaczysz.
Nikogo tu nie ma. Nikt nie poda ci śniadania. To chyba…

Koniec

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jacek Londyn, dodano 05.05.2023 20:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.